

Małgorzata Strękowska-Zaremba
Inspektor Mątwą na tropie
Kto ryczy w Warszawie?

© by Małgorzata Strękowska-Zaremba
© by Wydawnictwo Literatura

Zrealizowano w ramach stypendium m.st. Warszawy

Źródło cytatów: *Legends warszawskie. Antologia*,
Muzeum Warszawy, Warszawa 2016

Okładka i ilustracje:
Anna Oparkowska

Korekta:
Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie I, Łódź 2024
ISBN 978-83-8208-290-6

Wydawnictwo Literatura



91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wydawnictwoliteratura.pl
tel. (42) 630-23-81
www.wydawnictwoliteratura.pl



Zbliżała się noc sylwestrowa. Prawie wszyscy z radością oczekiwali przyjścia nowego roku. Zakładali, że będzie lepszy od minionego. Tylko zwierzęta patrzyły z niepokojem w przyszłość. Im bliżej sylwestra, tym ich niepokój wzrastał. Koty miauczały dzień i noc. Wrony i kruki krakały złowieszczo. Wiewiórki rzucały orzechami na oślep. Jedna nawet podbiła oko ochroniarzowi Januszowi Łabądkowi, który akurat szedł przez park do pracy. Jakby tego było mało, Szczęśliwy Pies, ten, który zamieszkał u wróżki Rozamundy, położył się na swoim posłaniu w kącie sypialni i zapadł w letarg.

– Znow zmienił się w rzeźbę. Widocznie chce przeczekać najgorsze – stwierdziła Szalona Roz.

Co sądziła o tym Ciamka, nie wiadomo, ale zachowywała się dziwnie. Kręciła się po mieszkaniu bez celu i powtarzała ze zgrozą: „Sylwester nadchodzi, kurza stopa!”.

Wkrótce psy powtarzały psom, koty kotom, kruki łabędziom, łabędzie bobrom, bobry łasicom, szare myszki białym myszom i nawet nieme ryby w Wiśle szeptały z trwogą półsennym ropuchom: „Sylwester nadchodzi, kurza płetwa!”.

„Zbliża się” – szumiał wiślany wiatr, aż rzeka pokrywała się krą niczym gęsią skórką.

Gdyby ludzie byli bardziej wyczuleni na głosy przyrody, poczuliby powiew grozy. Wystarczyło tylko przyjrzeć się zachowaniu pupili. Spacerujące psy rzucały jedno krótkie warknięcie i zwracały do domów.

Niestety, jedynie wróżka Rozamunda zauważyła w ich zachowaniu coś niepokojącego. Zerknęła w karty i oczy jej rozbłysły jak dwa reflektory. Od razu zadzwoniła do zaprzyjaźnionego inspektora Juliusza Mątwy. Policjant nie chciał jednak słuchać o żadnych karcianych przepowiedniach, ani złych, ani dobrych. Zamierzał trzymać się z daleka od wszystkiego, co kłóciło się ze zdrowym rozsądkiem. Pragnął skupić się na swojej karierze.

Po wydarzeniach związanych z „buntem pomników” długo nie powierzano mu żadnej poważnej sprawy. Jakby szefowie nie byli pewni, czy jest przy zdrowych zmysłach. Przestał więc opowiadać o spotkaniu z żywą Syreną i w końcu zlecono mu odpowiedzialne zadanie. Będzie mógł się wykazać. On i jego ludzie mieli strzec niezwykle pięknej damy: *Damy z gronostajem*, zwanej też *Damą z łasiczką*. Był to bezcenny obraz włoskiego geniusza Leonarda da Vinci. Jedyne obraz tego malarza, który posiada Polska. Zamierzano pokazać go na wystawie w Muzeum Narodowym. Portret Damy trzeba było odebrać z samolotu, a potem pilnować jak oka w głowie i zwrócić w nienaruszonym stanie Muzeum Książąt Czartoryskich w Krakowie. Inspektor Mątwa nie myślał więc o niczym innym.

Rozamunda była jednak uparta, dzwoniła i dzwoniła. W końcu inspektor spasował i odebrał telefon.

– Luzik, inspektorze. Ja tylko ostrzegam, że świat zawali się nam na głowy – zaczęła pogodnie. – Dokładniej, to stracimy grunt pod nogami.

– Pod moimi nogami jest całkiem twardo – zauważył z przekąsem inspektor. I nawet tupnął w podłogę.

– Do czasu. Jeśli nie wierzy pan wróżbom, to niech pan posłucha zwierząt w mieście. Są przerażone.

– Czym? Śniegiem w grudniu? – Mątwa zlekceważył ostrzeżenie. A szkoda.

– Żal mi pana. Zawsze trzeba przewidywać najgorsze, wtedy nic człowieka nie zaskoczy. Czytał pan *Kubusia Fatalistę*? – spytała ni z tego, ni z owego.

Mątwą zmarszczył krzaczaste brwi.

– Czytałem *Kubusia Puchatka*...

– Też dobrze. Kłapouchy...

– Muszę kończyć. Wesołych świąt i szczęśliwego nowego roku! – przerwał jej Mątwą.

– Szczęśliwego? Niemożliwe! – odparła z przekonaniem wróżka.

Czuła, że najbliższy czas zapoczątkuje coś, czego nie da się zatrzymać, jak nie daje się powstrzymać lawiny, gdy już zacznie schodzić.

– Pożyjemy, zobaczymy. Żegnam panią – zakończył rozmowę inspektor i wrócił do przemyśleń na temat własnej kariery. Rozmarzył się. Może kiedyś sam zajmie miejsce szefa stołecznej policji Remigiusza Blobfisha?

Przerwało mu nowe połączenie. Trochę się zirytował, jednak opanował zniecierpliwienie.

– Słucham – rzekł spokojnym głosem. Ani za wysokim, ani za niskim.

Podwładny, aspirant Konstanty Meduza, meldował, że otrzymał raport opiekunów psów policyjnych. Doniesiono w nim, że psy zachowują się inaczej niż zwykle.

Ukłucie niepokoju trafiło Mątwę prosto w serce, jednak i to zlekceważył.

– To znaczy? – spytał.

– Szczekają – odparł krótko Meduza, gdyż w szkole policyjnej uczono go, że należy meldować krótko i zwięźle.

– To znaczy? – Mątwą podniósł głos o jeden ton. Jemu w szkole policyjnej mówiono, że meldunek powinien być jasny i zrozumiały.

– Nasi specjaliści twierdzą, że liczba szczeknięć na minutę znacznie przekracza normę. Psy są podenerwowane, zaczepiają inne zwierzęta i...

– Meduza się zawahał. Końcowa część meldunku była tak niewiarygodna, że nie chciała mu przejść przez gardło. – Wygląda na to, że ostrzegają się wzajemnie.

Mątwą skrzywił się niemiłosiernie. Już żałował, że rozkazał meldować o wszystkim, co byłoby choć odrobinę niepokojące lub odstawało od normy. Poleciał to dlatego, że współcześni złodzieje i przemytnicy dzieł sztuki stosują niesłychane metody. Jednak gdyby szczekanie psów zagrażało bezcennym obrazom, już dawno by to odkryto.

– Myślcie, Meduza. Co ma piernik do wiatraka?

– zwrócił się do aspiranta łagodnie jak do dziecka.

– Faktycznie – przyznał Meduza, jednak bez przekonania. – Ale, tak jakby, wydaje mi się...

– Co znowu? Mówcie jasno i wyraźnie! – rozkazał Mątwą.

- Czuję szóstym zmysłem, że coś się zbliża
- wyrzucił jednym tchem aspirant.
Inspektor roześmiał się rehotliwie.
- Szóstym? A może dwudziestym?
- Meduza nie wyczuł w głosie szefa ironii.
- Dwudziestego nie mam – odparł całkiem serio.
- Całe szczęście – skwitował rozbawiony inspektor.
- W szkole policyjnej uczono go, że szósty zmysł może jedynie przeszkadzać w pracy śledczego. Istotne są twarde dowody, a nie jakiś przeczucia.

FAJERWERKI
i kat
na Piekietku



Warszawiacy radośnie oczekiwali sylwestrowej nocy. Szczególnie Szymek i Lena nie mogli się jej doczekać. Miasto szykowało dla mieszkańców bal przebierańców na placu Zamkowym. Szymek miał nadzieję nie przespać przyjscia nowego roku. Nigdy mu się to jeszcze nie udało. Chociaż bardzo się starał, zasypiał zawsze przed północą. Tym razem musiało się udać, bo tę noc miał spędzić na dworze. Oczywiście nie sam, z mamą, z Leną i jej mamą – Karoliną Targońską. Przed północą miały do nich dołączyć wróżka Rozamunda Bełt-Bełtowska i jej mopsica Ciamka.

Mopsica nigdy nie wyszłaby w noc sylwestrową, za bardzo bała się huków fajerwerków. Jednak tym razem miało być inaczej. Zgodnie z uchwałą Rady Miasta Warszawy na terenie miasta obowiązywał zakaz odpalania petard, rac i fajerwerków. Zamiast pokazu sztucznych ogni zaplanowano świetlny spektakl na ścianach Zamku Królewskiego. Zapowiedziano też liczne niespodzianki.

Wreszcie przysła wyczekiwana noc. Lena – przebrana za kota, i Szymek – za psa, wyszli z domu w towarzystwie dwu grubych pand. Czyli mamy Szymka i mamy Leny. Obie panie wypchały kostiumy poduszkami, żeby upodobnić się do prawdziwych niedźwiadków.

Rozamunda przebrała się za średniowieczną astrolożkę. Zwiewna szata w gwiazdy i księżycę wprawiła ją w wyjątkowo dobry nastrój.

– No chodź, u nas nie będą strzelać. Sama prezydent miasta obiecała ciszę – prosiła Ciamkę.

„Bujda na resorach” – warknęła po swojemu mopsica.

Nie wierzyła nikomu, nawet prezydentom. Jednak sama w domu w taką noc też nie odważyłaby się zostać.

Tymczasem Szymek, Lena i ich mamy byli już pod pomnikiem Syrenki. Wiele z nią ostatnio przeżyli, więc choć to wyglądało dziwnie, złożyli jej noworoczne życzenia. Na bulwarach wiślanych było sporo ludzi, jednak dziś nikt się nie dziwił, że kot, pies i dwie grube pandy przytulają się do pomnika.

Po chwili przebierańcy ruszyli w stronę Starego Miasta. Nie przypuszczali, że wydarzenia tej nocy zapoczątkują szereg zmian, które przewrócą ich życie do góry nogami.

Rozamunda mieszkała w sąsiedztwie Rynku Starego Miasta, więc na plac Zamkowy miała najbliżej. Mimo to nie znaleźli jej na umówionym miejscu.

Lena zadzwoniła do wróżki i przełączyła na tryb głośnomówiący.

– Już jesteśmy! – krzyknęła.

– Negocjuję z Ciamką. Zapała się – odparła Roz.

– Na szczęście koniec z fajerwerkami! Przynajmniej w Warszawie – pocieszyła Rozamundę mama Leny. Wierzyła głęboko, że warszawiacy nie narażą zwierząt na cierpienie.

Czas mijał. Przed północą prowadzący zabawę zaprosił na scenę ustawioną pod wieżą zegarową prezydentkę miasta. Zaczęło się odliczanie. Oczy wszystkich skierowane były na zegar ponad sceną. Szymkowi i Lenie było trochę przykro, że Rozamunda nie zdążyła wpaść. Lubili ją, bo była inna niż większość dorosłych. Można powiedzieć, że faktycznie szalona.

Kiedy wybiła dwunasta i na murach Zamku Królewskiego zamigotały tysiące świateł, wydawało się, że warszawiacy uszanują zalecenie władz miasta. Niestety, była to złudna nadzieja. Charakterystyczny świst, a po nim huk zakłóciły radosną atmosferę.

W niebo wystrzeliły fajerwerki. I to we wszystkich dzielnicach stolicy!

– Matko kochana! – westchnęła rozczarowana Karolina Targońska.

Zwierzęta domowe zaszyły się pod łózkami, w szafach i łazienkach, a tym żyjącym w parkach i na ulicach przestały bić serca. Nagle zgasły wszystkie światła. Na stolicę spadła ciemność czarna jak smoła i ciężka niczym wilgotna kotara. Ucichły rozmowy i śmiechy. Zaraz jednak lodowaty wiatr przyniósł strzępy słów wypowiedziane nieprzyjemnym, syczącym szeptem, a po nim rozległ się ryk rozgniewanego lwa. Nie minęła sekunda, gdy dołączyły do niego głosy innych lwów. Dreszcz przeszył ludzi zgromadzonych na placu Zamkowym.

W tym momencie tylko ten, kto lubi horrory, mógł poczuć dreszcz podniecenia. Przez kilka minut było naprawdę strasznie. Na szczęście awaria prądu nie trwała długo. Kiedy wróciło oświetlenie, rozległy się brawa. Sylwestrowi goście sądzili, że wyłączenie prądu w całym mieście było w planach organizatorów. Zapowiadano przecież niespodzianki. W ciemności można całować się do woli, a pierwsze chwile nowego roku sprzyjają pocałunkom. Nawet Szymonowi przemknęło przez myśl, że mógłby wreszcie pocałować Lenę... Ale zanim się zdecydował, popłynął prąd.

I po sprawie! – westchnął w duchu chłopak.

– A Rozamundy jak nie było, tak nie ma – powiedział, żeby ukryć zmieszanie.

Tymczasem prezydentka miasta z kamienną twarzą przyjęła oklaski zwolenników horrorów.

– Przykro mi, że niektórzy warszawiacy złamali zakaz. Odpalili fajerwerki i wystraszyli lwy w zoo – powiedziała ze smutkiem. – Obiecuję, że nie pozostaną bezkarni. Zwrócimy też uwagę pracownikom ogrodu zoologicznego, żeby lepiej zabezpieczali podopiecznych na noc sylwestrową.

Po tych słowach na twarz pani prezydent wrócił uśmiech.

– A teraz bawmy się! – Klasnęła i na scenę wbiegła gwiazda estrady błyszcząca jak bombka choinkowa.

Szymek, Lena i ich mamy odetchnęli z ulgą, dopiero gdy wreszcie zobaczyli Rozamundę. Była zdyszana, a pomarańczowe włosy sterczały jej na wszystkie strony. Wyglądała, jakby przeżyła porażenie piorunem.

– Widzieliście Ciamkę?! Wyrwała na plac! Myślałam, że do was dołączy!

Szymek i Lena pokręcili głowami.

– Matko kochana! – jęknęła pani Targońska, która zwykła wpadać w panikę prawie z każdego powodu.

– To mądry pies, daleko nie odbiegł. Rozejrzyjcie się. Za dziesięć minut spotkamy się przy ruchomych schodach – zaproponowała mama Szymka.

– Tylko się nie zgubcie. – Pani Karolina na wszelki wypadek ścisnęła Lenę za rękę.

Oczywiście nikt nie zamierzał się zgubić, ale kiedy weszli w tłum, od razu stracili się z oczu. Szymek, popychany przez świętujących, znalazł się w pobliżu murów Starej Warszawy. Przeszedł kilka metrów, aż dotarł pod pomnik Jana Kilińskiego. Wiedział, że Ciamka przychodziła tu na spacer. Rozglądał się więc uważnie.

Naraz czyjaś ciężka, guzowata dłoń spoczęła mu na ramieniu. Odwrócił się i wydał okrzyk... radości. Miał przed sobą wysokiego, kościstego mężczyznę przebranego za kata. Czerwony kaptur zasłaniał mu twarz, jedynie oczy patrzyły przez wycięte w kapturze dwa otwory. Trzymał pod pachą mopsicę w kasku motocyklowym. Pies wierzgał krótkimi nogami i wił się niczym piskorz.

„Dziabnę cię, jak pragnę zdrowia!” – warczał po swojemu.

Kat przebieraniec podsunął chłopcu Ciamkę pod nos.

– Tego szukasz? – spytał.

– Tak! Super! – Szymon złapał mopsicę w objęcia.

Dotąd nie przepadali za sobą, ale w tym momencie nie było to ważne. – Dziękuję! Do zobaczenia! – pożegnał uprzejmego kata.

– Lepiej, żebyś mnie więcej nie spotkał – zachrypiał mężczyzna.

Nieprzyjemny chłód przeszył Szymka do kości.



Trochę trwało, zanim wszyscy zgromadzili się na miejscu zbiórki, czyli w kamienicy Johna przy najstarszych ruchomych schodach stolicy. Liczą już ponad sześćdziesiąt lat. Zna je każdy warszawiak. Łączą plac Zamkowy z aleją Solidarności. Były atrakcją powojennej Warszawy. Tak wiele osób chciało nimi pojeździć, że musiano zakazać wielokrotnej jazdy: w górę i w dół, i znowu w górę, i w dół – i tak bez końca.

Roz była przeszczęśliwa z odnalezienia Ciamki, mimo to w jej głowie kołatały się same czarne myśli. Specjalizowała się w złych przecuciach i wiedziała, że się nie myli. Stało się coś, co zburzy spokój mieszkańców stolicy.